

Agnieszka Jordan-Gondorek



oszukać
FATUM

Kiedy wszystko, w co wierzyłeś,
okazuje się kłamstwem...

oszukać
FATUM

Oszukać fatum

© Agnieszka Jordan-Gondorek

© for the Polish edition by Wydawnictwo Hm...

All rights reserved

Wszystkie prawa zastrzeżone

Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody twórców

Redakcja: Ewelina Biernaś www.epitetykorekta.pl

Korekta I: Wydawnictwo Nie powiem

Korekta II: Dorota Lińska-Złoch

Projekt okładki: D.B. Foryś

Ilustracja: Agnieszka Makowska

Skład: D.B. Foryś

ISBN: 978-83-67448-14-7

Wydanie pierwsze

Wojkowie 2023

Wydawnictwo Nie powiem

Email: redakcja@niepowiem.com.pl

Telefon: 518833244

Adres: ul. Sobieskiego 225/9, 42-580 Wojkowie

www.niepowiem.com.pl

[Kup książkę](#)

AGNIESZKA JORDAN-GONDOREK

oszukać
FATUM

*Kiedy wszystko, w co wierzyłeś,
okazuje się kłamstwem...*



[Kup książkę](#)

*Są różne zbiegi okoliczności,
które przypominają wyrafinowany plan.*

Andrzej Stasiuk

Kochani,

zanim zabierzecie się do czytania, kilka słów wyjaśnienia.

W powieści zastosowałam dwa rodzaje narracji.

Pierwszoosobową przypisałam młodym bohaterom, więc w ten sposób zaprezentują Wam się:

Jagna, Kira, Kornel, Mateusz i Maksymilian.

Z racji tego, że powyższy zabieg w trakcie tworzenia skutkował rozszczępieniem mojej jaźni na pięć – mniej lub bardziej – zgrabnych części, postanowiłam ochronić resztki rozumu. Dlatego przy opisywaniu przemysłów **rodziców** i **dziadków** posłużyłam się narracją trzecioosobową.

Bawcie się dobrze

Agnieszka
Jordan-Gondorek



*Po wyjątkowo upalnym lecie dzień taki jak ten stanowił miłą odmianę. Wciąż było ciepło, lecz w powietrzu unosił się już zapach jesieni. Liście trzymały się jeszcze drzew, ale z ziemi zaczęła wypęłzać wilgoć, budząc przyjemne skojarzenie. Cmentarz. To tam wkrótce znajdą się jego wrogo-
wie, a on sam odzyska spokój.*

Oddalając się szybkim krokiem od żelaznej kraty, odruchowo schował klucz do kieszeni spodni. Gdy wsiadł do samochodu, metal boleśnie wbił mu się w udo, jednak mężczyzna nawet nie pomyślał, by go nieco przesunąć i zniwelować ucisk. Ból był bowiem dowodem, że się udało. Przymknął powieki. To naprawdę koniec. Ulga rozlała się po jego ciele, wywołując uczucie graniczące z euforią. Tym razem dziewczynka się nie wywinie.

Przez chwilę się zastanawiał, jak by to było mieć ją i zdominować, ale nie potrafił sobie tego wyobrazić. Nie posiadała jeszcze kobiecych kształtów.

Musiałoby minąć wiele lat, nim byłaby zdolna zaspokoić jego męskie żądze, a on nie chciał czekać. Nie mógł. Zmarnował już dużo czasu.

Ciężko dysząc, oparł czoło o kierownicę. Kilka lat temu był pewien, że jego misja dobiegła końca. Przyszedł na jej pogrzeb. Odgrywał całą tę szopkę. Dla niepoznaki położył na grobie wiązaną białych róż, ale to nie ją pochowano! Został oszukany! I gdyby nie przypadek, pewnie nigdy by się o tym nie dowiedział.

Na jego twarzy pojawił się grymas przypominający uśmiech. Los dał mu kolejną szansę i teraz przygotował się starannie. Miał parę opcji. Pierwsza okazała się nieskuteczna – dziewczynka, nie wiedzieć czemu, nie otrzymała przeznaczonego dla niej prezentu. Mężczyzna wiedział, że przez pomyłkę umarł ktoś inny, ale nie odczuwał żadnych wyrzutów sumienia. Sprawa wymagała poświęceń. Najwyższych.

Obserwował dwóch współników, gdy otwierali studio fotograficzne. Poszedł tam wczoraj. Niepostrzeżenie wsunął pod ladę niewielki radiowy zapalnik. I czekał. Był cierpliwy. Cierpliwość to cecha bogów, a on czuł się panem sytuacji. Ptasek prędzej czy później wleci do klatki, wtedy on odetnie mu drogę ucieczki.

Przyszli dopiero dziś. Mężczyzna widział, jak fotograf otworzył żelazną kratę, a potem drzwi. Klucz został w kłódce. Opiekun dziewczynki był zapewne zbyt przygnębiony śmiercią współnika, by zaprzętać sobie głowę jakimś zapięciem. I nieświadomie wyświadczył siedzącemu w aucie człowiekowi wielką przysługę.

Okazja pojawiła się już po godzinie. Do zakładu wszedł klient i fotograf zaprowadził go do drugiego pomieszczenia. To odpowiedni moment. W zasięgu wzroku nie było ani jednego przechodnia, nie nadjeżdżał żaden samochód. Dar od losu.

Mężczyzna wysiadł z samochodu i zbliżając się do drzwi, zajrzał w okno wystawowe przesłonięte kratą. Omal nie podskoczył z radości na widok dziewczynki, przywołując w wyobraźni przyczynę swojego cierpienia. Nie mogła go zobaczyć – kuciała na podłodze odwrócona do niego

plecami. Długie, splecione w warkocz czarne włosy lśniły niczym jedwab. Ta, która go skrzywdziła, miała identyczne.

Skrzywił się. Urażona duma podpowiadała: „Prędej, no prędzej! Wiedźma ze wschodu musi zginąć za to, co nam zrobiła”. Mężczyzna lekko pchnął metalową kratę. Nie skrzypnęła. Wstrzymując oddech, zamknął ją i zatrzasknął kłódkę. Nikt niczego nie zauważył.

Nie odwracając się, wrócił do samochodu i dopiero gdy wsiadł, odważył się spojrzeć we wsteczne lustro. Odliczył w myślach od trzech do jednego i nacisnął guzik niewielkiego urządzenia zsynchronizowanego z zapalnikiem. Miał pewność, że zadziała – przetestował je kilkakrotnie. Najpierw pojawi się mały płomyk, po chwili zapali się specjalnie spreparowany kawałek sukna i to od niego zajmą się meble. Wnętrze pomieszczenia wypełnią płomienie, a zamknięci w środku ludzie znajdą się w pułapce. Z lokalu nie było innego wyjścia, zdążył to sprawdzić. Tym razem wszystko pójdzie, jak należy.

Z uczuciem spełnienia uruchomił silnik i ruszył w kierunku centrum, a później ku trasie wylotowej z miasta. Nie chciał, żeby ktoś go zauważył, gdy pożar rozgorzeje na dobre.



CZĘŚĆ I

Klucz do przeszłości



Maksymilian

Pracowałem nad każdym kadrem z iście zegarmistrzowską precyzją. Wynająłem ciemnię tylko na dwadzieścia cztery godziny i nie mogłem tracić czasu. Tu nie było miejsca na chwilę nieuwagi. Dłoń nie mogła mi zdrześć. Praca w programie graficznym to zupełnie inna bajka niż retusz bezpośrednio na negatywie. Jeden nieostrożny ruch mógł wszystko zepsuć, dlatego włożyłem do uszu słuchawki iPhone'a, włączyłem ulubioną playlistę i odciąłem się od świata. Znałem te utwory na pamięć, każde słowo, każdy takt. Nic nie mogło mnie zaskoczyć.

Po pełnym turbulencji locie z Broome do Port Hedland obiecałem sobie, że nieprędko wejść znowu na pokład któregoś z tych trzeszczących samolocików. Wcześniej naiwnie sądziłem, że nic nie jest w stanie mnie przestraszyć, jednak ten lot pozwolił mi

prędko to zweryfikować. Co mnie podkusiło, żeby podróżować samolotem? Pewnie czas.

Trzy razy wynająłem samochód, by poczuć smak interioru¹, ale długie trasy wolałem pokonywać autobusem. Nie cierpiełem monotonii wielogodzinnego siedzenia za kółkiem. Szybko się rozpraszałem, bo wyobraźnia wodziła mnie na manowce, przez co trudno było pilnować trasy. Jako pasażer, z laptopem na kolanach, mogłem pracować przynajmniej do momentu, gdy ostatni power bank się rozładował. A pracy miałem sporo i nie chodziło jedynie o zapisywane na bieżąco spostrzeżenia, które posłużyłyby jako materiał do kolejnej książki.

Dzwoniłem do różnych fotografików, ale dopiero ten z Port Hedland zgodził się użyczyć mi swoją ciemnię. Za odpowiednią opłatą. Tym się zbytnio nie przejmowałem, bo to klient pokrywał dodatkowe koszty.

Wieczór zmienił się w noc, a noc w poranek. Dopiero wtedy zapieczętowałem dopieszczone zdjęcia w sztywnej kopercie, dołączając do nich komplet negatywów. Oddam kopertę w porze brunchu i będę mógł rozpocząć wakacje. Spakowałem do plecaka wszystkie rzeczy i odetchnąłem z ulgą. Zadanie wykonane.

– Dzieciaku, ty naprawdę siedziałeś tu całą noc. – Z letargu wyrwał mnie mocny głos opalonego Australijczyka.

Don był niewysoki, krępy, a przy tym łysy jak kolano, ale miał w sobie coś takiego, że od razu go polubiłem.

– Straciłem poczucie czasu – przyznałem, ziewając beczelnie.

– To może chociaż kawę ci zrobię, co? Stać mnie, przecież zapłaciłeś mi dobry pieniądz. – Roześmiał się dobrodusznie.

Uznałem, że to niegłupi pomysł z tą kawą. Jeśli miałem się nie spóźnić, lepiej, żebym w ogóle się nie kładł.

¹ Interior – słabo zaludnione i trudno dostępne wnętrza łąd. Na terenach australijskiego interioru temperatury dochodzą do 50°C, a w powietrzu unosi się czerwony pył (przyp. red.).

W niewielkim pokoju socjalnym Don pstryknął włącznik w czajniku i sięgnął po kubki, a ja w tym czasie zmyłem z twarzy biały tusz, który z samego rana nanosiłem na parę ujęć. Nie mam pojęcia, jak znalazł się na moim policzku, ale na szczęście nie zapackał żadnej fotki.

Polubiłem tusz od momentu, kiedy poznałem tę technikę. Kilka zwinnych pociągnięć sprawiało, że fotografia nabierała wyrazu. Trochę żałowałem, że nikomu nie mogłem się pochwalić tym, co robię, jednak najważniejsze, że ona będzie zadowolona.

Bo będzie.

* * *

Parę godzin później opuściłem klimatyzowaną salę hotelowej restauracji z uczuciem triumfu. Lubilem, gdy ktoś doceniał moją pracę. Lubilem ten dreszczyk emocji, kiedy klient rzucał szybkie spojrzenie na efekt moich starań i cała gama doznań odbijała się w jego oczach. A ona była zachwycona.

– Jesteś pewien, że to ręczna robota? – zażartowała, puszczając do mnie oko.

– Jestem bardziej niż pewien. Gdzieś około północy zadrżała mi ręka. Zgadnij, w którym miejscu, a następnym razem dostaniesz mały rabat – podjąłem grę.

Zawsze przekomarzaliśmy się w ten sposób. Nie było między nami żadnej chemii, ale dobrze czuliśmy się w swoim towarzystwie. Bezpiecznie.

Po jakimś czasie, stojąc w kolejce do biura informacji turystycznej, podsłuchiłem, że ktoś rezygnuje z rezerwacji w hotelu w Coral Bay, więc uznałem, że to świetna okazja, by naładować akumulatory. Zwłaszcza że przez ostatnie dwa tygodnie dorobiłem się psychofanki.

Dziewczyna przysłała mi chyba dwieście maili. W pierwszej chwili zaznaczyłem je wszystkie i chciałem usunąć, ale tęsknota za niesłyszonym od dawna językiem ojczystym zwyciężyła.

Jakież było moje zdziwienie, gdy odkryłem, że jej korespondencja nie była podszyta nutką końskich zalotów, tylko chęcią uszczęśliwienia kogoś, kogo kochała. Tak, mogłem spełnić jej prośbę. To będzie trochę skomplikowane, lecz mogło się udać, a wakacje w Coral Bay świetnie się do tego nadawały.

Zadzwoniłem do Renaty, by ustalić szczegóły, na co się wściekła i kazała zadzwonić za kilka godzin. Nic dziwnego, wstyd się przyznać, ale nie uwzględniłem różnicy czasu. Nauczka na przyszłość, żeby jednak sprawdzać takie rzeczy.

* * *

Czułem się świetnie nad brzegiem Oceanu Indyjskiego. Żłociste plaże, tropikalne rośliny, egzotyczne zwierzęta – raj dla zapalonego fotografika i kogoś, kto jest gotów uciec od swoich problemów na drugą stronę globu.

Meekatharra nie leżała na planowej trasie mojej podróży. Miałem ruszyć wzdłuż wybrzeża w kierunku Perth, ale gdy przygotowywałem się do ostatniego nurkowania w pobliżu rafy Ningaloo, przypadkowo usłyszałem tę nazwę i po powrocie do hotelowego pokoju postanowiłem wygooglować, gdzie dokładnie znajduje się Meekatharra.

Widok z lotu ptaka – skupisko budynków na tle czerwonej, spalonej słońcem ziemi – nie zachęcał do odwiedzin. Opis atrakcji również nie działał jak wabik na spragnionych egzotyki turystów. Ze zwięzłego wpisu w Wikipedii można było dowiedzieć się jedynie, że Meekatharra jest stolicą hrabstwa o tej samej nazwie, ale

nie posiada nawet praw miejskich. Ot, mała osada, założona przez poszukiwaczy złota na kompletnym odludziu.

Może właśnie to mnie zainteresowało? Wszak Renata, moja agentka i zarazem pierwsza redaktorka moich książek, twierdzi, że mam talent do przedstawiania dziur zabitych dechami jako niezwykle atrakcyjnych miejsc. Podobno nadawałbym się na piarowca.

Tkwilo w tym ziarnko prawdy. Podczas studiów w Edynburgu jednym z zadań na zaliczenie było przygotowanie broszury przedstawiającej dowolny proces. Długo nic nie przychodziło mi do głowy. Już myślałem, że zawalę temat, aż w końcu zdesperowany i bliski załamania przyleciałem do domu na weekend i nakłoniłem dziadka Wojciecha, żeby otworzył stolarnię.

Robiłem zdjęcia, podczas gdy dziadek wykańczał stół i przygotowywał drewno do produkcji kolejnego mebla. Wtedy dopiero zaczynałem uczyć się ręcznego retuszu, więc nie wszystko wyszło perfekcyjnie, ale mój mentor, mistrz w pracy z negatywami, Garson Lynwood, był zachwycony.

– *This is absolutely fabulous*² – skomentował, co w jego ustach oznaczało wyraz największego uznania.

Od tego czasu poświęcał mi większą uwagę, a praca trafiła na stronę uczelni wraz z danymi stolarni dziadka. Miło było przeczytać na angielskiej witrynie, że zdjęcia zostały wykonane w Stolarni Wojciecha Orlicza.

To, co wydarzyło się później, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Zaskoczony dziadek zaczął otrzymywać zlecenia z zagranicy i, żeby sprostać życzeniom klientów, zatrudnił kilku dodatkowych pracowników. Obroty wzrosły jeszcze bardziej, gdy kuzyn Kornel zaprojektował stronę internetową z galerią produktów. Dzięki temu w krótkim czasie niewielka stolarnia zamieniła się w świetnie prosperującą firmę, eksportującą produkty niemal do wszystkich krajów

² *This is...* (ang.) – To jest absolutnie bajeczne! (przyp. red.).

świata. Nawet mieszkająca w Perth ciotka Anastazja zamówiła stół i krzesła do jadalni, ze zdziwieniem odkrywając, że te cuda pochodzą z jej rodzinnego podwórka. Świat się skurczył.

Z perspektywy hotelowego krzesła, na którym siedziałem, rozmyślając o tym wszystkim, miścina jawiła mi się jako ziemia obiecana. Była z pozoru na wyciągnięcie ręki, jednak szybko zrewidowałem poglądy. W linii prostej Coral Bay dzielił od Meekatharra dystans około pięciuset kilometrów, ale autobus jechał trasą przez Geraldton, przez co odległość zwiększała się do ponad tysiąca kilometrów. Na mapie znalazłem jeszcze drogę przez Tom Price, niestety żadne połączenie tamtędy nie prowadziło. Na domiar złego wypożyczalnia kamperów nie dysponowała obecnie wolnym autem. Może to znak? Może pustynia nie była dla mnie odpowiednim miejscem?

Piesza wycieczka odpadała. Rowerem, który mógłbym zapewne tu kupić, też byłoby trudno – pomijając brak kondycji, przeczytałem gdzieś, że rosnąca w tych rejonach ostra jak brzytwa trawa cięła opony amatorom rowerowych przejażdżek. Jedyna możliwość to znalezienie kierowcy zmierzającego w tym samym kierunku. Czy dopisze mi szczęście?

O świcie stanąłem przy wylotówce w stronę Tom Price, ale szybko przestałem wierzyć, że złapię stopa. Pierwszy kierowca jechał do Onslow, a kolejny jeszcze dalej na północ, do Port Hedland, skąd przyjechałem prawie trzy tygodnie temu. Cztery następne samochody wcale się nie zatrzymały. Prawie dałem za wygraną, kiedy przypomniałem sobie, z czyich ust padła nazwa miściny.

Ray Haydon! Emerytowany nauczyciel, który również wybrał się na wycieczkę na rafę. Pociągnięty za język opowiadał trochę o miejscu, skąd pochodzi. Słuchałem jednym uchem, bo akurat aparat Aggie, żony Raya, zaciął się i próbowałem jej pomóc. Ale przecież wczoraj, gdy spotkaliśmy się wieczorem na plaży, miła

para pożegnała się ze mną, informując, że nazajutrz z rana wracają do domu. Do Meekatharry.

Uświadomiłem sobie, że nazajutrz z rana jest właśnie dziś i jeśli się pospieszę, złapię ich jeszcze na kempingu. Schyliłem się, by podnieść bagaże, i kątem oka zauważyłem, że tuż przede mną, na poboczu, zatrzymał się wysłużony jeep.

– Dokąd się wybierasz, młodzieńcze? – zapytał kierowca, wyglądając przez uchylone drzwi.

Uniosłem głowę. Co za fart! Miałem więcej szczęścia niż rozumu. Za kierownicą siedział Ray!

– Meekatharra – odpowiedziałem, z trudem powstrzymując radość. – Nie jedziecie przypadkiem w tamte rejony?

Oprócz podwózki Haydonowie zaproponowali mi nocleg. Dwójka ich dzieci wyjechała na studia do Perth i nic nie wskazywało, żeby w przyszłości miały one ochotę wrócić w rodzinne strony, więc Ray i Aggie od czasu do czasu wynajmowali pokoje przygodnym turystom.

Ray był potomkiem poszukiwaczy złota, którzy osiedlili się w Meekatharze przed przeszło stu laty, w żyłach Aggie zaś płynęła krew rdzennych mieszkańców tego regionu i nic, nawet katalizm, nie zmusiłoby jej do przeprowadzki. Kochała swoją małą ojczyznę i – ku mojej ucieście – chętnie o niej opowiadała.

Późnym popołudniem zatrzymaliśmy się w Tom Price, górniczym miasteczku położonym na skraju pasma Hamersley.

– Musimy tu przenocować – wyjaśniła Aggie. – W tej okolicy rzadko można trafić na osadę, a nie chcemy przecież spać pod gołym niebem.

Nie, zdecydowanie nie chciałem. Przed wyjazdem Kornel z wrodzoną sobie stanowczością uświadomił mi, że w Australii żyją o wiele bardziej niebezpieczne zwierzęta niż blakające się po poznańskich dzielnicach bezpańskie koty. Nie miałem ochoty ich

poznać. Przynajmniej nie z bliska i nie w nocy. Pokój w motelu był kuszącą alternatywą.

* * *

– Te wzgórza są bogate w rudy żelaza – wyjaśnił Ray, gdy usiedliśmy razem, by zjeść kolację w motelowej restauracji. – Kilka kilometrów stąd jest kopalnia. Pracuje w niej spora część mieszkańców miasta.

W zamyśleniu skinąłem głową. Nie było szans zejść z aparatem tak daleko, ale miałem nadzieję na choć krótki spacer. Termometr nadal wskazywał ponad trzydzieści stopni, lecz dało się już odczuć lekki spadek temperatury. A nieznana okolica kusila bardziej, niż chciałbym przyznać. To jedyna okazja na taki spacer – następnego dnia wyjeżdżałem. Poza tym, mimo znużenia podróżą, wcale nie było mi spieszo, żeby zamknąć się w wynajętym pokoju.

Niski, obskurny budynek motelu wyglądał z zewnątrz o wiele lepiej niż w środku. Pokoje dwuosobowe urządzone dość komfortowo, ale w swojej jedynce miałem stare szafki kuchenne, wysłużoną lodówkę, czajnik, który błagał o odkamienianie, rozpadając się szafę, dwa krzesła i łóżko z metalową ramą przypominające te na dziecięcych oddziałach szpitalnych.

Wziąłem ze sobą klapki, niemniej bałem się wejść pod prysznic oddzielony od reszty miniaturowej łazienki jedynie poółką plastikową zasłonką zawieszoną na dziwnym stelażu. Konstrukcja prezentowała się tak, jakby w każdym momencie mogła na mnie runąć.

I pomyśleć, że zapłaciłem za to dwieście dolców!

Uzbroiłem aparat w obiektyw wyciągnięty z plecaka i z ulgą opuściłem to ponure miejsce.

– Uf, jak gorąco – westchnąłem, gdy z klimatyzowanego wnętrza wślizgnąłem się wprost w upalne australijskie lato. Mimo że temperatura nieco spadła, dla mnie nadal było upiornie gorąco. Na szczęście pamiętałem, by wsadzić do plecaka butelkę wody.

Chociaż nie łudziłem się, że centrum informacji turystycznej będzie o tej godzinie jeszcze otwarte, to z kartki przyklepionej na drzwiach dowiedziałem się, że jest czynne tylko od początku stycznia do ostatniego dnia października. Spóźniłem się kilka dni. Widocznie w listopadzie żadni zdrowi na umyśle turyści już tu nie zaglądają.

Przyznałem przed sobą, że mam nie po kolei w głowie, ale – tak po prawdzie – nigdy za bardzo nie starałem się być turystą. Zależało mi, by wczuć się w klimat miejsca, a potrzebne dane zawsze mogłem znaleźć w internecie.

Snując się po ulicach, starałem się nie zwracać na siebie uwagi. Natura włóczęgi powiodła mnie w kierunku granicy miasta. Tom Price położone jest ponad siedemset metrów nad poziomem morza i na jego peryferiach dało się to odczuć. Krajobraz był surowy. Na rudej, wysuszonej słońcem ziemi drzewa rosły skąpo, przeważały trawy i niewysokie krzewy.

Miałem ochotę wdrapać się na jedno z rysujących się w oddali wzgórz. Ruszyłem wzdłuż Bingarn Road, ale odległość okazała się większa, niż optymistycznie założyłem, więc wspiałem się jedynie na niewysoki pagórek tuż obok drogi. Zmrużyłem powieki, upajając się panującą wokół ciszą. Wymieniłem obiektyw, poprawiłem ustawienia i zwolniłem migawkę. To właśnie lubiłem najbardziej. Delikatny ruch palca przenosił widziany przeze mnie obraz na kartę pamięci aparatu. Uwieczniał grę światła na zalanej blaskiem zachodzącego słońca drodze wijącej się wśród wzgórz. Przykleknąłem na jedno kolano, by zmienić perspektywę, i pstrykałem dalej.

Żałowałem, że nie było ze mną Nelka. Jemu też by się tu spodobało. A może powinienem był przedzwonić? Przecież nie rozmawialiśmy od dobrych kilku tygodni. Jednak różnica czasu to spory problem, poza tym tak się wtedy oderwałem od rzeczywistości, że nie wiedziałem nawet, jaki mieliśmy dzień tygodnia – najwyższa pora wziąć się w garść.

W drodze powrotnej do motelu spotkała mnie niemiła przygoda. Przecinałem Central Road, gdy usłyszałem za plecami ryk silnika. Zdziwiłem się, bo spojrzałem wcześniej przez ramię, by upewnić się, że nic nie jedzie. Samochód musiał więc ruszyć ze skrytego w cieniu pobocza. Rzuciłem się pędem, modląc się, aby bezpiecznie dobiec do chodnika. Poczułem na barku czyjaś dłoń i ułamek sekundy później zostałem przeciągnięty na drugą stronę wysokiej barierki oddzielającej chodnik od trawnika. Plecak zsunął mi się z ramienia i wylądował na ziemi. Upadłem oszołomiony, z trudem łapiąc oddech.

– *May your chooks turn into emus and kick your dunny door down*³ – wrzasnął mężczyzna w kierunku terenówki, która zatrzymała się na moment, po czym odjechała z piskiem opon. – *Ya ok, mate?*⁴

Dopiero po chwili zorientowałem się, że nieznajomy zwrócił się do mnie. Spojrzałem na niego spod skleionej potem, przydługiej czarnej grzywki. Był niewysoki, ale barczysty. Musiał pracować fizycznie, skoro miał taki refleks i siłę, że uratował mi życie.

– W porządku, dziękuję – odpowiedziałem, starając się naśladować australijski slang.

– Kto takim daje prawo jazdy? Samochód z wypożyczalni i myśli, że mu wszystko wolno. Carmageddon sobie urządza.

Uśmiechnąłem się cierpko, słysząc nazwę popularnej niegdyś gry na peceta. Kumple z podstawówki grali w nią namiętnie,

³ *May your... (ang.)* – Oby twoje kurczaki zmieniły się w emu i rozkopały ci drzwi do toalety – popularne w Australii przekleństwo (przyp. red.).

⁴ *Ya ok, mate? (ang.)* – Nic ci nie jest, kolego? (przyp. red.).

jednak babcia miała tyle oleju w głowie, żeby trzymać mnie i Nelka z daleka od takich rozrywek.

– Trzeba to zgłosić glinom. Powiem, co widziałem.

Pokręciłem głową z rezygnacją.

– Szkoda zachodu, jestem tylko przejazdem. Jutro rano już mnie tu nie będzie. To pewnie jakiś dzieciak, który stracił panowanie nad kierownicą i przeraził się nie mniej niż ja.

Australijczyk podał mi dłoń i pomógł wstać.

– To był dorosły mężczyzna, ale jak sobie tam chcesz. Jeśli zmienisz zdanie, to pytaj o Dużego Dana. Wszyscy mnie tu znają. *Hooroo*, przyjacielu.

– *Hooroo* – odpowiedziałem, obserwując, jak Dan znika na najbliższej posesji.

Otrzepałem kolana z resztek trawy i schyliłem się, by podnieść plecak. Miałem nadzieję, że aparat był w jednym kawałku. Nie wybaczyłbym sobie, gdyby coś mu się stało. Może powinienem zainwestować w lepszy futerał? Wiedziałem, że ojciec myśli, że fotografika to tanie hobby. Przecież aparat można kupić już za parę stówek, ale ten, który niosłem w plecaku, kosztował więcej. Dużo więcej.

Odważyłem się otworzyć plecak, dopiero gdy zamknąłem za sobą drzwi pokoju. Na szczęście sprzęt był cały. Sprawdziłem wszystko dokładnie, jednak nie zauważyłem żadnego pęknięcia. Pamiętając, że skończyło się miejsce na karcie pamięci, sięgnąłem po etui i zainstalowałem nową. Powinienem od razu przerzucić wszystko na dysk w laptopie, ale po tak emocjonującej przygodzie marzyłem jedynie o zimnym prysznicu i motelowej poduszce.

Ktoś zapukał do drzwi. Obudziłem się. Która mogła być godzina? Czwarta rano? Piąta? Odnalazłem po omacku klapki i poszedłem otworzyć.

– Jeśli chciałbyś rzucić okiem na Karijini, to powinniśmy wyruszyć, zanim zrobi się gorąco. Mamy przed sobą kawałek drogi.

Ray miał rację. Wczoraj upał był nie do zniesienia, poza tym rano i pod wieczór wychodzą najlepsze zdjęcia. O innych porach światło jest za ostre, co wprawne oko od razu wychwyci na fotografii. Byłem fotografikiem-perfekcjonistą: nigdy nie pozwoliłbym, żeby do druku poszła fotka niespełniająca moich wyśrubowanych standardów.

Wyruszyliśmy zaraz po kawie i przygotowanym naprędce śniadaniu. Aggie była czarodziejką – udało jej się przyrządzić sycący posiłek, którym mnie poczęstowała. Nie pomyślałem wczoraj, by coś kupić, a o tak wczesnej porze bar był nieczynny. Podziękowałem serdecznie i postanowiłem jakoś im się odwdziżyć. Później na pewno coś wymyślę.

Ray zaparkował na jednym z licznych parkingów w Kirijini. Przeczornie oznaczyłem to miejsce w nawigacji w smartfonie, na wypadek gdybym zabłądził, i zacząłem pakować sprzęt.

– Statyw jest mi absolutnie niezbędny – zapewniłem, przymocowując go do plecaka.

Nie spodziewałem się takich kolorów. Mimo że wstające słońce zapowiadało niemiłosierny skwar, widok głębokiego wąwozu Joffre wynagradzał wszystkie niedogodności klimatu. W tej części Australii temperatura rzadko spadała poniżej trzydziestu stopni, a powietrze było wyjątkowo suche, co utrudniało oddychanie.

– Popatrz tam, to kangury rude. – Ray zwrócił moją uwagę na parę zwierząt odpoczywających w cieniu, tuż obok niewielkiego akwenu.

Tego gatunku jeszcze nie widziałem. Nie występowały na wschodnim wybrzeżu ani na północy, w okolicach Coral Bay również ich nie zauważyłem. Intuicyjnie nastawiłem ostrość i zerknąłem na ustawienia. Zamarłem w bezruchu, wyczekując odpowiedniego momentu. Jeden z kangurów był dużo wyższy od

pozostałych – najpewniej samiec. Z torby na brzuchu samicy wychylało się młode.

– O tak, popatrz tutaj, na mnie – mamrotałem pod nosem, zwalniając spust migawki. Gdy usłyszałem charakterystyczny trzask, wiedziałem, że ujęcie będzie dobre.

Najchętniej w ogóle bym stąd nie odchodził, ale Ray dotknął mojego ramienia.

– Powinniśmy już jechać – powiedział. – Rano zapowiadali zmianę pogody w porze lunchu, a to może ściągnąć tornado. Lepiej znaleźć się w bezpiecznej odległości.

Zrobiłem kilka szybkich ujęć i wróciliśmy do samochodu. Obiecałem sobie, że jeszcze tu kiedyś przyjadę. Może w przyszłym roku? Tornado tornadem, ale teraz nie mogłem tu dłużej zostać również z innego powodu. Za tydzień miałem odwiedzić w Perth ciotkę Anastazję. Lepiej jej nie denerwować.

* * *

Gdy około północy dotarliśmy do Meekatharry, byliśmy spoceni, wykończeni i pokryci rudym kurzem. Ray zaparkował przed niskim, parterowym domem ze spadzistym dachem, który na tle okolicy wyglądał jak czterogwiazdkowy hotel. Zabrałem swój bagaż, chwytając przy okazji dwie torby gospodarzy, lecz Ray poprosił, bym na razie zostawił wszystko w sieni.

– Chodźcie do kuchni – zawołała Aggie, która zdążyła już zakrzatnąć się przy czajniku i lodówce.

– Nie obraż się, ale padam z nóg – powiedziałem, widząc, że wyciągnęła z szafki trzy talerze. – Tylko napiję się wody, jeśli można. Później mogę zasnąć nawet na krześle.

– Nie będzie tak źle. – Ray pokrzepiająco poklepał mnie po ramieniu. – Pokój Rona stoi pusty. Zapraszam.

Sypialnia studiującego handel międzynarodowy Rona została przytulnie urządzona. Na półkach wciąż stały jego książki. Chłopak zostawił również wieżę stereo i kilka zdjęć z rodzicami. Spojrzałem na nie w zamyśleniu. Młodziak wydawał się wysoki, wyższy od ojca. Uśmiechnąłem się sam do siebie. Pierwszy raz od tygodni stopy nie będą zwisać mi z łóżka.

* * *

– Cześć, nieznajomy. – Rano w kuchni przywitał mnie miły głos należący do sympatycznie wyglądającej czarnowłosej dziewczyny.

Mogła mieć nie więcej niż osiemnaście lat. Piwne oczy spoglądały na mnie z zaciekawieniem, gdy zatrzymałem się tuż za progiem, zapewne z mało inteligentnym wyrazem twarzy.

– Ciocia powiedziała, że może chciałbyś, żeby ktoś w twoim wieku dotrzymał ci towarzystwa. Zostawiła dla ciebie tosty. A tak przy okazji, jestem Mia.

– Maks – rzuciłem w końcu, odzyskując mowę. – Bardzo mi miło.

Usiadłem przy stole, a ona sięgnęła po dzbanek stojący obok ekspresu.

– Pijesz kawę? – zapytała i nie czekając na odpowiedź, nalała aromatycznego płynu do dwóch kubków. – Ja uwielbiam. Potrafię wypić ze cztery kubki. Matka się wścieka, bo mówi, że to marnotrawstwo wody. Sama kawy nie pija. A wiesz, że w języku Aborygenów Meekatharra znaczy „miejsce, w którym jest mało wody”? Brzmi trochę głupio, nie? Wy też macie u siebie takie obrazowe nazwy miast?

Pomyślałem, że parę by się z pewnością znalazło, ale zanim zdążyłem się odezwać, Mia na nowo rozpoczęła swój słowotok.

– Mieszka nas tu może z siedemset osób i nie jest tak kolorowo jak na wybrzeżu. Wszędzie tylko ruda ziemia. Byłam w Perth i to

jest całkiem inny świat. Pojadę tam na studia, chcę zostać lekarzem. Ale wrócę tu później – zaznaczyła, na wypadek gdybym śmiał zwątpić. – To jest moje miejsce, tutaj mieszkali moi przodkowie. Babcia była szamanką, wiesz? Niestety nie zdążyła mnie nauczyć niczego fajnego, wszystko przekazała Amy, a ona powiedziała, że nic mi nie powie, dopóki nie skończę studiów, bo mogę zrobić komuś krzywdę. Taka mądra jest. Masz rodzeństwo?

– Jedynie młodszego kuzyna, ale jest dla mnie jak brat – rzuciłem szybko, nie zagłębiając się w szczegóły.

Mia zmarszczyła brwi, przyswoiwszy to, co powiedziałem.

– Masz szczęście – zawyrokowała po chwili. – Starsza siostra to ZŁO – dodała, akcentując każdą literę.

Musiałem przygryźć wargi, inaczej parsknąłbym śmiechem. Ta dziewczyna była tak rozbijającą bezpośredniość, że nie potrafiłem mieć za złe, że zabrakło jej delikatności. Zresztą nie mogła wiedzieć, że oddałbym wszystko, żeby moja siostra i mama... żyły.

– Oj, kawa wystygła – jęknęła Mia, wyrывая mnie ze świata wspomnień. – Chyba za dużo gadam, co? Nie możesz spokojnie zjeść.

Odruchowo zaprzeczyłem, nie chcąc sprawiać jej przykrości.

– Zjem, a ty w tym czasie możesz coś poopowiadać. Później chciałbym zobaczyć, czy jest tu coś ciekawego.

– To pustkowienie – rzuciła, wywracając oczami. – Co tu może być ciekawego? Kopalnię złota otworzyli, a niedługo potem znowu zamknęli. Ludzie stąd uciekają. Przez większą część roku jest sucho i piekielnie gorąco. Mieszkańcy okolicznych farm hodują owce i bydło. To tyle.

Spojrzałem na nią z pobłażliwym uśmiechem. Dla mnie wszystko wkoło było egzotyką, ucieczką od szarej rzeczywistości, którą zostawiłem na Starym Kontynencie, i od wspomnień. Tu łatwiej było nie pamiętać.

Pół godziny później wyszliśmy z domu, mijając się w progu z Aggie – wróciła ze sklepu spożywczego z siatką pełną zakupów.

– Nie trzeba, poradzę sobie – powiedziała, gdy przyzwyczajony do pomagania babci zaproponowałem, że zaniosę torbę do kuchni. – Cieszę się, że się zakumplowaliście. Bawcie się dobrze. Tylko wróćcie na lunch.

– Ciocia jest super, nie? – podjęła Mia, kiedy wyszliśmy za furtkę. – Jeśli byś się zgubił, pamiętaj, że mieszkasz przy Queen's Road. Numer 42. Na końcu tej drogi jest lotnisko. – Machnęła dłonią w prawo. – Samolot odlatuje stamtąd do Perth we wszystkie dni powszednie oprócz wtorku.

Pomyślałem, że to świetnie się składa. Nie chciałem nadużywać gościnności swoich gospodarzy, więc założyłem, że pożegniam się w środę. Wynajmę pokój w Perth i będę miał jeszcze kilka dni, żeby samemu pochodzić po mieście, zanim wpadnę pod skrzydła stęsknionej towarzystwa ciotki Anastazji.

Mimo piekielnego żaru lejącego się z nieba światło było wyjątkowo dobre, a ujęcia miękkie, jak lubiłem. Mia dziwiła się, dlaczego tyle uwagi poświęcam tej miejscinie, ale ja po prostu lubiłem fotografować.

Szliśmy, powłócząc nogami, gawędziliśmy o wszystkim i o niczym. Gdy dotarliśmy do autostrady przecinającej miasteczko, niemal podskoczyłem z radości na widok nadjeżdżającej od południa cysterny. To nie była byle jaka cysterna, tylko prawdziwy pociąg drogowy, jaki widziałem kiedyś w programie na TVN Turbo. Do ciężarówki przyczepione zostały aż trzy zbiorniki; całość robiła niesamowite wrażenie. Cofnąłem się kilka kroków, by uzyskać lepsze ujęcia. Wiedziałem, że wyjdą dobre zdjęcia, ale na żywo widok robił większe wrażenie.

– Kolej nie wszędzie dojedzie – wyjaśniła Mia. – Transport na duże odległości organizowany jest właśnie takimi zestawami. Czasami bywają dłuższe.

Burknąłem coś na znak, że rozumiem. Nie chciałem się rozpraszać. Jeszcze chwila i magiczny pociąg zniknie w oddali, pozostawiając za sobą tumany kurzu. Pstryknąłem tyle fotek, że wkrótce karta zasygnalizowała brak wolnego miejsca. Tym razem szybko poszło. Szkoda, że nie wziąłem zapasowej.

– Oj, co masz taką kwaśną minę? – zganiła mnie Mia. – Dochodzi południe, i tak powinniśmy już wracać. Później, gdy upał trochę zelżeje, zabiorę cię do punktu widokowego, tam nadrobisz zaległości.

Trochę się zdziwiłem, kiedy mijając furtkę, zauważyłem, że okno w pokoju, w którym nocowałem, było otwarte na oścież. Zostawiłem je tylko lekko uchylone. Dzień był bezwietrzny, więc nie otworzyło się samo. Może to Aggie chciała przewietrzyć dom.

Oplukałem w łazience twarz i ręce, a następnie zamknąłem się w sypialni i usiadłem na tapczanie. Powinienem wziąć prysznic, ale zamiast poszukać czystej koszulki, sięgnąłem po leżące na szafce nocnej etui na karty pamięci. Nie pamiętałem, ile czystych jeszcze mi zostało. Nie wykluczałem, że być może przeniosę część zdjęć na dysk, by zwolnić miejsce.

Rozsunąłem zamek i w tym momencie moją dłoń przeszył ból tak przenikliwy, że mimowolnie zacząłem krzyczeć. Odruchowo przyciągnąłem do siebie rękę. Tuż nad nadgarstkiem, w okolicy kciuka, widniały dwie szerokie, krwawiące rany. Spojrzałem w kierunku etui i zobaczyłem, jak niewielki, czarny jak noc pająk powoli zsuwa się na podłogę.

Na korytarzu rozległy się kroki i już po chwili w drzwiach pojawił się Ray.

– Maks, co się... – zaczął, spoglądając na mnie.
Zwijąłem się z bólu, ale udało mi się wskazać na podłogę.
– Dobry Boże, co tu robi podkopnik?! – zawołał kompletnie zaskoczony.

Otumaniony bólem jak przez mgłę widziałem, że Ray zatłukł insekta gazetą, którą wcześniej chyba czytał.

– Dobry pająk to martwy pająk – przytoczył popularne w Australii powiedzenie. – Zdążył cię ugryźć?

Skinąłem głową. Rany pulsowały niemiłosiernie. Nigdy wcześniej nie czułem tak intensywnego bólu. Pomimo upału zacząłem dygotać, a plecy oblał mi zimny pot. Skóra wokół ust zaczęła drżeć. Nie potrafiłem nad tym zapanować.

– Aggie, dzwoń do RFDS, niech przygotują samolot. – Zdążyłem usłyszeć i bezwładnie osunąłem się na łóżko.

* * *

Opatrunek uciskowy odbierał mi czucie w dłoni. Denerwował mnie. Odruchowo chciałem go poluzować, ale sanitariusz zaprotestował.

– Jeśli to ruszysz, jad rozprzestrzeni się po całym ciele – ostrzegł groźnie. – Musisz najpierw dostać odtrutkę. Wtedy szybko zapomnisz o całej sprawie.

Powoli poruszyłem ciężką głową, by spojrzeć na mówiącego. Sprawiał wrażenie odprężonego i spokojnego, choć wydawało się, że coś ukrywał. Z rozmowy prowadzonej przez pozostałych członków załogi wywnioskowałem, że początkowo zmierzali do Perth, ale pogoda się popsuła i musieli zawrócić do Geraldton. Nigdy wcześniej nie miałem tak ostrych objawów choroby lokomocyjnej, jednak teraz dopadły mnie nudności i gdy samolot dotknął płyty lotniska, omal nie zwymiotowałem.

– Trzymaj się, niedługo wylądaje antidotum – rzucił krótko lekarz, który przejął mnie na pasie startowym. – Musisz zrozumieć, że nie mieliśmy tu nigdy przypadku ukąszenia przez podkopnika. To bydłę nie występuje w Australii Zachodniej, nie miał prawa tu być.

Nie mogłem nawet jęknąć. Tuż po lądowaniu zacząłem mieć problemy z oddychaniem, więc podłączono mnie do przenośnego respiratora. Poza tym traciłem czucie w dłoni i bałem się martwicy.

Trawiła mnie gorączka, mimo to już po chwili rozpoznałem tę twarz. Krótkie blond włosy, szaroniebieskie oczy, długi, prosty nos odziedziczony po pradziadku Konstantym... Brakowało jedynie uśmiechu, który tak często widywałem, gdy rozmawialiśmy przez Skype'a. Arthur, syn ciotki Anastazji, w szpitalnym uniformie wyglądał śmiertelnie poważnie. Przestraszył mnie bardziej niż paraliżujący ból i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że jest ze mną naprawdę źle.

Kilka następnych dni pamiętam jak przez mgłę. Słyszałem głosy, czasami dość wyraźnie, ale nie byłem w stanie otworzyć oczu. Pojawiły się halucynacje.

Widziałem mamę. Jej przepełnione miłością zielone oczy. Siedziała na brzegu łóżka i śpiewała kołysanki, trzymając moją dłoń na brzuchu, gdzie – jak mówiła – była schowana moja siostrzyczka.

– Królu mój, ty śpij, ty śpij, a ja, królu mój, nie będę dzisiaj spać. – Słyszałem jej czysty głos.

Gładziła mnie po policzku, odgarnąwszy wcześniej za ucho niesforny kosmyk lśniących, czarnych włosów.

– Mamusiu, kocham cię – powiedziałem złakniony jej pieszczot.

– Ciii – szepnęła. – Pora spać. Porozmawiamy jutro.

– Mamusiu, nie odchodź! – zawołałem przestraszony, że zaraz zostawi mnie samego.

Schyliła się, żeby pocałować mnie w czoło. Poczułem ulgę. Wiedziałem, że ze mną zostanie, dopóki nie zasnę. Zrobiłem miejsce, by mogła położyć się obok. Pachniała jak budyń waniliowy, który zjadłem na podwieczorek.

– Jesteś częścią mnie, więc zawsze będę z tobą – zapewniła.
To mnie uspokoiło.

Zamknąłem oczy, a gdy otworzyłem je ponownie, zaczęła znikać. Złapałem ją za rękę, próbując zatrzymać, ale rozplywała się w powietrzu. Ulatniał się również słodki zapach wanilii.

– Mamo! – zawołałem, siadając.

Zamrugąłem. W pierwszym momencie nie wiedziałem, gdzie jestem. Zobaczyłem tylko okno, obco wyglądającą ścianę i stojak od kroplówki. Dopiero po chwili zauważyłem Arthura, który siedział na krześle tuż obok łóżka. Miał na sobie cywilne ubranie: oliwkową koszulę z krótkim rękawem i jasne wytarte jeansy.

– Witamy wśród żywych – powiedział, odkładając na stolik znajomo wyglądający smartfon.

Wspomnienia zaczęły wracać ze zdwojoną siłą. Pająk, ból, transport samolotem, strach w oczach Arthura, a potem ogarniająca mnie ciemność. Arthur bawił się moim smartfonem. Czy ojciec już wie?

– Mówiłeś komuś, co się stało? – zapytałem zaskoczony, jak słabo zabrzmiał mój głos.

Pokręcił głową.

– Wysłałem matce wiadomość, że zostaniesz jeszcze przez kilka dni w Meekatharze. Gdyby się dowiedziała, że jesteś w szpitalu, obaj mielibyśmy kłopoty. Ty przez ryzykowne wycieczki w głąb lądu, a ja za ukrywanie faktu, że omal nie umarłeś. Pewnie nie wiesz, że jad podkopynika to mieszanina wielu toksyn. Teoretycznie tylko jedna jest śmiertelna, ale okazało się, że jesteś uczulony na pewien składnik jadu. Było z tobą naprawdę źle. Zrób mi

przysługę i trzymaj się z dala od pajaków. Zwłaszcza tych, które z pozoru nie wyglądają groźnie.

Podparłem się zdrową ręką, ponieważ ciągle kręciło mi się w głowie.

– Uwierz, że naprawdę się starałem. Opuściłem sobie wycieczki krajoznawcze w okolicach Brissie, bo wiedziałem, że tam najłatwiej natknąć się na te potworki. Podobno występują wyłącznie na wschodzie, więc co on, do licha, robił tak daleko na zachód? Wybrał się na długi spacer i zabłądził?

Arthur parsknął śmiechem, ale po chwili spoważniał.

– Też mnie to zastanawia – przyznał. – Policja jest zdania, że przywiozłeś go ze sobą.

– Wykluczone – zaprotestowałem gwałtownie. – Wyjechałem z Queensland pod koniec września. Gdybym faktycznie sam go przytargał, natknąłbym się na niego o wiele wcześniej. Zaatakował mnie, kiedy chciałem wymienić kartę w aparacie. Był w zamkniętym etui. Nie ma mowy, żeby w nim przyjechał, bo jestem uzależniony od robienia zdjęć i pcham tam łapska przynajmniej raz na dwa dni. Mam kilkadziesiąt kart, archiwizuję wszystko od momentu, gdy przyleciałem do Ozz.

Kuzyn wstał powoli i w zamyśleniu przespacerował się po pokoju.

– W takim razie ktoś próbował cię zabić – zawyrokował, nie znalazłszy innego wyjaśnienia. – Może pstryknąłeś fotkę komuś, komu się to nie spodobało? Bo zakładam, że nie masz innych wrogów.

Wzruszyłem ramionami.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Arthur spojrział na zegarek. Ja swojego nie miałem, więc nawet się nie zastanawiałem, która mogła być godzina.

– Od dzisiaj mam urlop, a nie chciałbym zostawiać cię tu samego. Zwołałam doktor Snow, pewnie będzie chciała zrobić kilka

badania, ale po wszystkim masz się wypisać na własne żądanie. Zabiorę cię do siebie – zdecydował.

Skinąłem tylko głową. Nie było sensu protestować, bo mimo że szpitalny pokój wydawał się przytulny, wolałem być teraz zupełnie gdzie indziej.